

JASON LUTES***Berlin. Miasto dymu***

WARSZAWA,

WYDAWNICTWO KULTURA GNIEWU, 2013

Pięć lat oczekiwania na drugi tom tej komiksowej epopei ani na jotę nie osłabiło mojego entuzjazmu. Zresztą nie tylko mojego – jak skrzętnie informuje w tekście promocyjnym na okładce wydawca, *Berlin* „został zaliczony przez magazyn «Time» do szczytowych osiągnięć tego medium”.



Akcja drugiego tomu rozpoczyna się w 1928 roku i ponownie przed naszymi oczami rozgrywają się perypetie życiowe plejady bohaterów. Tłem akcji, równie ważnym jak główne wątki opowieści, jest pulsująca muzyką setek kabaretów i knajp, i miarowym krokiem coraz liczniejszych nazistów historia Berlina u schyłku Republiki Weimarskiej. Stolica Niemiec tamtych lat otoczona jest legendą zbudowaną przez dziesiątki filmów, poczynając od *Błękitnego anioła* Josepha von Sternberga z Marleną Dietrich, przez *Kabaret* Boba Fossa, po *Fałszerzy* Stefana Ruzowitzky'ego. Mroczną atmosferę komiksowej opowieści wzmacnia też, rzecz jasna, przecucie zbliżającej się hekatombi. Lutes prowadzi nas w głąb berlińskiego półświatka, szemranych geszefciarzy, gangsterów, kabaretowych artystów, homoseksualnej subkultury, lupanarów, dzielnic robotniczych i lumpenproletariackich zaułków. Z detaliczną precyzją odtworza wygląd ulic, architekturę, mieszczańskie wnętrza urządzone w stylu *art deco* i zaplute nory biedoty. No i, oczywiście, do tej całej feryi barwnych postaci i charakterystycznych typów ludzkich dołączają nasilające się starcia bojówek SA-mańskich, z jednej, i antyfaszystowskich, socjalistycznych, a przede wszystkim, komunistycznych – z drugiej strony. To tragiczne rozdarcie na zwolenników dwóch krwawych totalitaryzmów oddane jest w *Berlinie* znakomicie i przejmująco... A pomiędzy nimi trwa – ciągle jeszcze normalne – życie. Komiks jest czarno-biały, a kreska Lutesa prosta, hiperrealistyczna i benedyktyńsko precyzyjna. Genialne dzieło, do którego warto powracać – w oczekiwaniu na ostatni tom zapowiadanej trylogii.

MK